O ŻYCIU ROZPRAWA VIII.

DALSZY CIĄG SZKOŁY ALEXANDRYJSKIÉJ

(AŻ DO GALENA).

O DUCHU WEDŁUG POJĘĆ NEOPLATONSKICH I MAGII,

TUDZIEŻ O LEKARZACH I FILOZOFACH W RZYMIE.

PRZEZ

Dra Dworzaczka.

WARSZAWA.

W DRUKARNI S. ORGELBRANDA.

—

1855.

WOLNO DRUKOWAĆ.

w Warszawie dnia $^{11}/_{20}$ Września 1855 roku.

Starszy Cenzor, **F. M. Sobieszczański**.

w Drukarni S. Orgelbranda.

O ŻYCIU ROZPRAWA VIII.

DALSZY CIĄG SZKOŁY ALEXANDRYJSKIEJ (aż do Galena).

O DUCHU WEDŁUG POJĘĆ NEOPLATOŃSKICH I MAGII,

TUDZIEŻ O LEKARZACH I FILOZOFACH W RZYMIE,

Człowiek, to duch żywy, to duch wcielony, jego ciało, to jego szata, w którą go odziało życie zwabiwszy go najżywszą ziemską roskoszą, którą upojony, zasnął na jego łonie; z tego snu budzi go ziemia, piastunka jego, śpiewem swym do równi z niebiańską nastrojonym harmonią;— śpiewem o wielkich cudach kreacyi, śpiewa mu świat hymny o dziełach boskich na pięciostrunnéj arfie; wlewa w duszę jego potoki roskoszy pięciu zmysłów zdrojami.

Życie, to ducha niewola, który w swoim niebiańskim spokoju, w obojętném odrętwieniu zapragnął szczęścia, zapragnął miłości i wiedzy, zapragnął czynu, czując się siłą: siła jego twórcza zapragnęła dzieła. Jeżeli więc życie jest niewolą, jest ona podobną do niewoli dziecka w łonie matki, w którém do czynu, do wolności dojrzewa.

Życie, to żywe łono Boga, do którego się tuli duch, jak się tuli do piersi matki, do rozkosznego zdroju nektaru, dziecko z jéj własnego łona wyszłe.

Życie, mówisz Platonie, to pokuta! grzechem więc była żądza miłości, żądza owocu z drzewa wiedzy?

Życie swemi rozkoszami budzi żądze, rozbudza wszystkie władze ducha; podobnie jak kryształ, który na jaw

wyprowadza rozmaitość i bogactwo przenikającego go światła, by tęczowemi zajaśniało barwami.

Śmierć jest ducha porodem, wylonia go z materyi, kruszy jego więzy, wracając go światu duchów, gdzie promienieje świętéj miłości ogniem, gdzie niezawisły i wolny własne sobie szczęście tworzy, jak go widział i uczuł na ziemi, odzwierciadlone według boskiego wzoru. Biada! jeżeli stracił niewinność a niedojrzał wiedzą i cnotą, jeżeli się zbłąkał i omylił, z prawdziwego źródła ambrozyi niezaczerpnął, prawdziwego szczęścia pokrzepiającéj nie zakosztował słodyczy; jeżeli gorząc ogniem niecierpliwego pragnienia, nie szukał czystéj spokojnéj krynicy, dał się zwabić powabami szumiącego zdroju, i pił z niego namiętności żądzą;— duch jego pozostanie niewolnikiem ziemi, tęsknić będzie za Boga jasnością, za rajem aniołów, aż go pokuta oczyści,—albo raczéj poprawa. Bo stanowisko pokuty, stanowisko kary zostawmy od nas zręczniejszym, zostawmy tym, którzy umiejąc sprzeczności godzić, sprzeciwieństwa jednoczyć, z niemi spotkać się nie lękają.

Stanowisko sprzeczności i sprzeciwieństwa, pomimo swéj starożytnéj powagi i filozoficznego namaszczenia, empiryczném jest stanowiskiem, i to w najniekorzystniejszém tego słowa znaczeniu. Stanowisko sprzeczności i przeciwieństwa stawia nas względem obrazu, względem przedmiotu w fałszywém świetle, wystawiając nas na jego złudzenie. Zasada sprzeczności i przeciwieństwa, jest to stary grzech filozofii, który ją kalectwa nabawił; jest to grzech matki, którego dziedzictwo spadło na dzieci, grzech szkoły Pitagorasa, który spadł na wszystkie z niéj wyszłe systemata, zwichnął najdzielniejsze umysły.

Stanowisko sprzeczności, empirycznem mówię jest stanowiskiem, jest niezaprzeczonem doswiadczeniem dla samych tylko zmysłów, które poza różnicą nie widzą, nie dostrzegają jedności; boć ich celem i największym tryumfem jest rozdrabniać całość i różnice odkrywać. Umysł przeciwnie obdarzony boską twórczością, składa i jednoczy części: ich różnicą pozorną nieuwiedziony, umie odgadnąć wspólnego podobieństwa ognisko, które je jednoczy: tworzy całość, w której rozmaitość harmonijną czaruje jednością. Sprzeczność i przeciwieństwo myśl zgody wyklucza; pogodzić sprzeczność jest to samo, co żądać, by dwie równoległe spotkały się linie. Zmysłami znarowiony i uwiedziony pospolity umysł łatwo się do téj zasady skłania, bo jest dogodną i praktyczną łudząc pozorem prawdy. Zasada ta, nawet nie jest bez powabu dla myśli lubiącéj trudności zwyciężać, lubiącéj się chełpić fałszywemi buletynami zwycięztw. Zasada sprzeczności daje rozumowaniu wielką elastyczność, dowodzeniu pajęczynowatą nawet subtelność, jaką tylko w loice Hegla spotkać można. Myśl na téj zasadzie, rusza się niczém nie skrępowana chyżo, ale się rusza jak koło młyńskie które nie postępuje, wodę rozbija i młynkuje, rozszumi ją tylko, lecz nic więcéj z niéj nie zrobi.

Cóż nas nauczyła Pitagorejczyków zasada, że świat z pierwiastków sprzecznych się składa? a takich sprzeczności dziesięciorakie przyjęto, to jest: skończoność i nieskończoność, prosto i nie prosto, jedność i wielość, na prawo i na lewo, męzkie i żeńskie, spoczynek i ruch, prostolinijne i krzywe, światło i ciemność, dobre i złe, kwadrat i czworokąt nierównoboczny.

Czyż E m p e d o k l e s większą znalazł trudność, tworząc świat na zasadzie dwojakiego przeciwieństwa: ciepła i zimna, czyli ognia i powietrza; wilgoci i suchości czyli wody i ziemi? Stoikom i wielu innym dość było na dwóch sobie przeciwnych pierwiastkach: ciepła i zimna, pierwsze czynne drugie bierne. Późniejsi filozofowie różnie wysłowiali to sprzeciwieństwo, przyjmując dualizm ducha i ciała, siły czyli entelechii i materyi. Dualizm, któremu D e s c a r t e s takie zjednał wzięcie, stawiajac Boga, istotę myślącą, na przeciwko materyi istoty rozciągłéj; istotę nieograniczoną, naprzeciwko istoty ograniczonych rozmiarów; stawiając siłę pochodzącą od Boga, przeciw atomom przez nią w ruch wprawionym;—Dualizm który do naszych utrzymał się czasów, pomimo usiłowań S p i n o z y, który jedność przyjmując substancyi, myślenie i rozciągłość za attrybuta téjże uważał; pomimo usiłowań L e i b n i t z a, który przyjąwszy jedność substancyi, nie rozciągłość jak S p i n o z a, ale siłę za jéj istotę uważał, siłę w najwyższém jéj upotężnieniu, jako myślącą i do nieskończoności rozmaitość wyobrażać w sobie zdolną; jako siłę indiwidualizującą się w monadzie, jako substancyą urozmaicającą i organizującą się własnéj wyobraźni mocą. Chcąc zatém wyjść L e i b n i t z z dualizmu dowcipnie bardzo, to mu przyznać trzeba, zadrwił z realności i materyi.

Żebyśmy zasadzie sprzeczności nic nie pozostali dłużnymi, przyznajmy ale z żalem, że tak wielki jak A r y s t o t e l e s a umysł, użył jéj nawet w swojém dowodzeniu o elementach. Chciałbym być teraz wymownym, chciałbym się natchnąć całéj wymowy urokiem, by osłonić błachość jego dowodzenia.

A r y s t o t e l e s przyjmując nadziemski eter nieodmiennny w wiecznym będący ruchu, ruchu kołowym, bo taki jako najdoskonalszy należy się eterowi, mówi: że ten ruch odwieczny kolisty eteru, musi mieć koniecznie środek, a tym środkiem jest ziemia; że zaś rzeczy przeciwne, wzajemnie swego bytu wymagają i udowodniają, musi być i ogień kiedy jest ziemia który jest jéj przeciwnym; ziemia i ogień wymagają koniecznie żeby było powietrze i woda, które nie tylko są przeciwne ziemi i ogniowi, lecz same jako przeciwne sobie, wzajemnie bytu się domagają.

Moglibyśmy się zapytać nareszcie nieobłąkanych teologów, prawników dobréj wiary i szlachetnego serca, czyli dualizm wielkie im zrobił przysługi w teoryi i praktyce? czy od grzechu odstraszył, od zbrodni odstręczył? Historya dziejów ludzkich niezaprzeczenie świadczy, że człowieka nie poprawił i nigdy nie poprawi, bo tego za cel sobie nie obrał. Poprawa to postęp; postęp jest tylko możebnym w zgodném wszystkich sił współdziałaniu, nie zaś w walce takowych. Dwie sobie przeciwne istoty pogodzić, byłoby większym cudem jak sam świat utworzyć.

O ile wyrób myśli, wyrób ducha wyższym jest od wrażeń zmysłowych, o tyle wyższą jest idea jedności, dzieło myśli, od chaotycznéj rozmaitości, za którą zmysły świadczą; mówię chaotycznéj rozmaitości, bo dostrzeżenie w niéj harmonii, nie jest wcale sprawą zmysłów, jest najwyższém naszéj myśli zwycięztwem, bo jest zwycięztwem nad zwodniczemi zmysłami, jest zwycięztwem podobném do zwycięztwa naszego wielkiego rodaka K o p e r n i k a, który wielką myślą swoją o ziemi około słońca obrocie, oku, owéj zmysłów perle, owéj zmysłów królowej, osłupiałemu, odwieczne kłamstwo dowiódł.

Wszakże jednak cała zasługa, cały urok zmysłów, z ich właśnie niemocy pochodzi.

Gdyby nasze zmysły miały potęgę sięgającą aż do ostatecznéj granicy bytu, gdyby się nic przed niemi ukryć nie zdołało, gdyby oko dostrzegało to wszystko co w powietrzu żyje, co się w niém porusza, gdyby dostrzegało tę rozmaitość milion milionów razy większą, jak ta jest którą widzi, czyżby powietrze nie straciło dla nas swojéj kryształowéj przezroczystości? czyżbyśmy mgłą tak gęstą otoczeni coś odróżnić zdołali? Gdybyśmy dostrzegli całą dziurkowatość materyi, przez którą nieustannie chmara niepojęta jestestw się tłoczy, gdybyśmy dostrzegli każdy najdrobniejszy atom z których się rzeczy składają, dostrzegli rozłączające je szczeliny, czyżby się ostała całość przedmiotu? wszakżeby się w pył rozłożył, obraz jego zniknąłby z naszych oczu, a doskonałość taka wzroku wtrąciłaby nas w najciemniejszą otchłań chaotycznéj nocy, do któréjby się żaden promień słońca nie przedarł. Czyżbyśmy dostrzegli tęczę, gdybyśmy nie zdala od niéj, lecz w samym jéj różnobarwnym wieńcu jak gdyby z nim spleceni, w samym jéj czarującym pierścieniu się znajdywali?

Gdyby ucho nasze wszystkie usłyszało nuty koncertu wszechświata, nuty nieskończenie stopniowane, zacząwszy od nuty drgającéj pajęczyny, do grzmiącego niebios sklepienia; nuty nieskończenie urozmaiconéj koncertu, który po nieskończonéj bytu odgrywa się przestrzeni; gdybyśmy słyszeli każdy ton naszéj atmosfery drżenia, każdego życia dosłyszeli głos, życia, którém nawet przezroczyste powietrze jest zagęszczone, a każde śpiewa hymny swéj miłości, swéj roskoszy, śpiewa żałosne swych bólów pieśni; jakiż

chaos z takowym dałby się porównać? Zamiast téj dla duszy naszéj roskosznéj nieba symfonii, do którego niedołężne nasze ucho nam podwoje otwiera, najwyższa słuchu naszego czułość byłaby dla nas męczarnią,—męczarnią równającą się potępienia okropności.

Czyżby powonienie nasze odróżniło w tym odorów oceanie roskosznych kwiatów woń, balsamicznych roślin zapach, gdybyśmy czułymi byli na wszystkie atmosferę nasycające wyziewy?

Powodzenie smaku czyżby inném było? zamiast kielicha słodyczy, pilibyśmy samą tylko gorycz. Przed czulszém naszém dotykaniem, znikłaby miła gładkość i równość, wszystko uczulibyśmy ostrém i zębatém. Ciało nasze własne czemżeby było dla naszego umysłu, gdyby ciekawości jego wyrównywała naszych zmysłów potęga? Nasz organizm jestże czém inném, jak ożywionym wielkim światem, jak oceanem żyjątek urozmaiconych, jak rozmaite są naszego ciała organiczne pierwiastki, elementa, systemata monad łączących się gromadnie, w porządku wzajemną potrzebą partych, pod wpływem duszy, by utwarzyć tkanki, organa; by utworzyć wspólném swém szeregowaniem różne naszego organizmu części, w rzeczywistości tak płynne, topniejące ciągle ruchem owych żyjątek, niestateczne a na pozór tak stałe. Gdzieżby umysł nasz szukał granicy swego ciała, w coby się obróciła nasza indywidualność ze stanowiska materyalnego się zapatrując, gdybyśmy okiem śledzić mogli wszystkie siły życia sprawy: jak ona ducha materyalną siatką osnuwa, jak rozwiązuje co tylko związała żywą krwi stężałéj przędzą; gdybyśmy widzieli jak się ciągle rozłączają tylko co spojone cząstki, jak nowe

z krwi zastępują zużyte, jak zużyte na wygnanie skazane płyną obok tych, które obce doznały nowego życia namaszczenia; gdybyśmy widzieli te nieustanne topniejącego naszego ciała wypływy, gdybyśmy widzieli te naszego jestestwa cząstki rozchodzące się w powietrzu, czepiające się ciał nas otaczających; gdybyśmy mówię widzieli jak te cząstki, przed chwilą nasze, wchodzą w skład roślin w skład zwierząt, w skład innych ludzi, i nawzajem widzieli jak od tychże nieustannie inne w nas wnikają; gdybyśmy widzieli jak świat zewnętrzny ciągle się w nas wpija, nas rozbiera, a my odwetową zamianą weń wnikamy, w nim się rozchodzimy, czyżbyśmymogli powiedzieć: to ja, to moje? co w téj saméj prawie chwili staje się rośliną, własnością innego organizmu? — Czemżeby była dla nas nerwów naszych wysoka czułość przed którą by się żaden ruch w naszym nie zataił organizmie, żadna najlżejsza gra naszych organów, przed którąby się nie utaiły żadne zachody żywego budownictwa naszego ciała, które się ciągle odnawia i ciągle zużywa?—Czyżbyśmy mogli mieć inne jeszcze uczucie, jak uczucie nieustannie rozdzierającego się wskróś naszego łona aż do jego ostatecznych głębin,—rozdzierającego się wskróś naszego ciała, jak uczucie ciągłego obumierania, uczucie długiego konania?

Materya wszystkim istotom jest wspólna, w nieustannym ruchu, wiecznéj i nieskończonéj swojéj wędrówce, nigdzie nie stateczna, wiąże wszystko miłości węzłem, świat cały w jedną całość—jest ślubną bytu obrączką. W tym ruchu materyi, w téj ciągłéj zmianie, sam tylko duch jest trwałym w swoim indiwidualnym bycie, którego najistotniejszym objawem jest myślenie. Myślenie jest najrzetel-

niejszém świadectwem ducha, a zatém i statecznego, niezmiennego bytu dowodem.

Zamiast narzekać na zmysłów naszych niedołężność, miasto wyrzucać im nieustannie ich kłamstwa i złudzenia, że nie przedstawiają rzeczy, przedmiotów, jakiemi są rzeczywiście, błogosławmy ich niemoc, ich ubóstwo, bo jemu winniśmy, my dzieci ziemi, wszystkie życia naszego roskosze; jemu winniśmy ten czarujący obraz świata, obraz wszystkich cudów kreacyi, my co za pochodnią, słabego tylko słońca blade światło mamy, które jest jednym tylko promieniem Boskiéj jasności.

Nie gardźmy zmysłami, że nas swém złudzeniem czarują! Podobnie jak przedmiot, jak malowidło czarujące nas swym effektem w pewnéj tylko odległości, z bliska widziane niekształtném jest, niezgrabném i cały urok swój traci, tak też przedmioty, których podziwiamy piękność, łudzącém nas na nie patrząc okiem widziane, jakiemi są rzeczywiście, z jakich najdrobniejszych cząstek się składają, alboby zupełnie z widnokręgu naszego oka zniknęły, lub téż w niekształtną chmurę zebrane, przedstawiłyby atomy. Wszystkoby się rozłożyło na Leibnitzowskie monady.

Duch tylko, który swoją własną, nad wszystkie pojęcia rzęsistą przyświeca jasnością, dla którego odległość jest bliskością, a bliskość odległością, duch sam tylko mówię, dla którego wszystko jest przezroczyste, widzi rzeczy bez cienia, cienia powtarzam, który jak ciemna noc wnętrze wszystkich rzeczy zalega, w którym każdy najdrobniejszy atom jest zanurzony; wroga światła, który życia siłę krępuje i swém zimnem skrzepłego materyalizuje ducha; cień którego światło słoneczne nie zdoła rozpędzić i ogrzać jego

ciemne, zimne materyalizujące łono, znika przed światłem boskiego ducha. Przed światłem boskiém znika materya, ciemne jéj rozwidnia się łono i staje się przezroczystém, odkrywa duchowi nieznane, nowe życia tajemnice, kreacyi cuda, których się na próżno dopatruje chciwy wiedzy człowiek, słabém swém powiększenia szkiełkiem.

Duch materyi nie widzi, bo przed jego wszystkie ciała przenikającą jasnością, odcienia się ich wnętrze, rozwidnia się ich łono, stając się jak kryształ przezroczystém. Rzeczy i ciała przed nim swoją jaśnieją istotą, swoją ideą. Duch wskroś przenikając wszystkie rzeczy, wszystkie ciała, poznaje bezpośrednią wewnętrzną ich istotę, ich duszę, którą Stwórca ukrył przed nami, byśmy ducha naszego ku doskonałości ćwiczyli, odgadywaniem tajemnic łona,— szukaniem prawdy.

Martwy byt, śmierć, to zwodnicze widmo, łudzi tylko ducha okrytego życia zasłoną; bo wszystko w naturze żyje, wszędzie jest siła i ruch, i w najdrobniejszym skały atomie spi duch zdrętwiały, aż go powoła do życia promień ożywczy boskiego światła i posłuży za przewodnika w labiryncie życia do najwyższych jasności, — najwyższych prawdy i roskoszy sfer.

Ducha przed duchem żadne nie ukryją się sprawy, w duchu świecą jawnie wszystkie tajemnice jego łona; albo raczéj dla ducha nie masz zewnątrz i wewnątrz, wszystkiemi swojemi promieniuje myślami, wszystkie jego na zewnątrz tleją uczucia, z których żaden promień, żadna iskierka się nie uroni. Jaki za życia w naszéj duszy rozniecimy zapał, jakim ona w ciele gorzeć będzie ogniem, takim świecić będzie duch nasz na progu do swéj duchowéj wróciw-

szy ojczyzny, którą taką znajdzie, jaką mu oświeci światło, którém się za życia zaopatrzył.

Złoty łańcuch starożytnych poetów, po którym z nieba na ziemię zstępują jestestwa, pasmo różnobarwne bytu snuje się bez przerwy, zacząwszy od ducha spiącego snem kamiennym aż do archanioła. Szereg stopniowanych jestestw wiąże człowiek z niezliczonemi duchów legionami, których stopniuje i urozmaica się doskonałość. Ogniwem zatém jest człowiek łączącém dwa światy; gościem, wychowańcem jednego, dąży uspasabiając się do drugiego, który jest jego prawdziwą i wieczną ojczyzną. Wstępuje on do niéj oddawszy ziemi ziemskie szaty, życia rozdarłszy zasłonę; wstępuje do niéj jako duch, który ciało porzucił, lecz idealną swą postać zachował, zachował swoje uczucia i myśli, zajmując miejsce, do którego się wzniósł mądrością, na które cnotą zasłużył. Ducha porównać można do echa, które długo powtarza głos kiedyś żywy, już zaniemiały, dziwnie łudząc jego podobieństwem, zwłaszcza w najpierwszém, w najbliższém jego odbiciu.

Duch opuszczając ciało, które nie zupełnie ostygłe leży na łożu skonania, zaledwie spostrzeże, że już do ziemi nie należy, wszystko jeszcze z nią go łączy, jego uczucia, jego myśli, jego popędy, niewidziany stoi w gronie osób, które go kochały i zgon jego opłakują. Swoje wniebowstąpienie zaczyna, nie nagle lepszym, ani zaraz doskonalszym, lecz zupełnie takim, jakim był za życia. Na skrzydłach lekkich jak wyobraźnia wznosi się do tych sfer pozaplanetarnych, które Ptolomeusz potrójnie stopniując, wiecznem siedliskiem szczęśliwych dusz być sądził. Swoją siłą twórczą, czarodziejską, mocen jest uzmysłowić się i objawić śmier-

telnym, których myśli i uczucia świecą mu jasno w niezmierzonéj dali, jak nam świecą gwiazdy z swéj niezmiernéj, planetarnéj odległości.

Stwarza siłą czarodziejską według swéj woli szczęście, jak je pojmuje i jak je sobie wyobraża, czaruje się obrazami, zachwyca się melodyą anielskich chórów, w miarę poetyckiego swego nastrojenia. Czy wszyscy marzyli w obłąkaniu, którym Stwórca dozwolił za życia, w chwili magnetycznego zachwytu, w chwili extazy, niekiedy na łożu śmierci uchylić zasłonę, po za którą tyle dzieje się cudów? Czyż widok chórów aniołów, legionów duchów zachwycających idealną pięknością postaci, dyamentowéj czystości; czyż widok rajskich ogrodów, zielonością, wonią i owocami czarujacych jest tylko złudzeniem rozpoetyzowanéj człowieka fantazyi? Czyż złudzeniem ucha były słyszane anielskich chórów hymny, niebiańskiéj muzyki melodye?

Najstarożytniejsze narody różnego stopnia cywilizacyi wierzyły w exystencyą duchów, niektóre nawet cielesny byt im przyznawały, od materyalnego tylko subtelniejszy. Syamczycy byli przekonania, że ducha nawet zranić można, że może się krwią zbroczyć. Chińczycy tak dalece wierzyli w cielesność duszy, zachowującéj po śmierci życia podobieństwo, że woleli raczéj śmierć ponieść jak golić głowy sposobem tatarskim, jak im to rozkazywała dynastya panująca mongolska, tłómacząc swój opór, że wstyd im będzie na tamtym świecie stanąć przed swemi przodkami z ogolonemi głowami. Indyanie, dobrowolném spaleniem się, paląc zarazem wszystko co i w czém się kochali, dowodzą, jak głęboko są przekonani o podobieństwie całego życia zagrobowego z życiem ziemskiém. I Grecy wierzyli

w duchy, ich filozofowie więcéj jeszcze jak lud prosty. Pytagoras nauczał, że świat cały pełen jest duchów, że niewidziane krążą w powietrzu, że są w ciągłéj styczności z ludźmi, mogąc im źle i dobrze robić, mogąc chorobę sprowadzić i zdrowie powrócić. Nauczał Pytagoras, że postem, modlitwą i dobremi uczynkami można sobie zjednać pomoc dobrych duchów i nad złemi panować. On sam niekiedy w głębokiéj przesiadywał jaskini, przepędzając tam dnie i tygodnie na poście i modlitwach i z dobremi jak mówił obcując duchami, które go wszystkich tych nauczyły prawd, które on uczniom swoim wykładał. Sokrates wierzył w duchy, miał nawet swego demona, który mu objawił tajemnicę nieśmiertelności duszy i Boga.

Pomijam tajemnice kapłanów egipskich i greckich wyroczni, pomijam tajemnice eleuzyńskie, do których przypuszczeni obcowali z duchami; pomijam podanie o królu Numie i o jego Egerze; przypomnę tylko, że Wirgiliusz zapewne pozostał wiernym w swojéj Enejdzie wierze rzymskiego ludu, mówiąc: że Eneasz na polach Elizejskich poznał Anchizesa i Dydonę w niczém nieodmiennych.

Ze wszystkich narodów, naród perski najwięcéj duchom hołdował. Brały one czynny udział we wszystkich sprawach tego narodu, we wszystkich okolicznościach życia do nich się odwoływano. Religia ich była prawie samą tylko demonologią. Magowie ich kapłani, tajemniczemi obrzędami umieli z duchami wchodzić w stosunki, umieli ich przywoływać i pomoc dobrych duchów sobie jednać, by złe odeprzéć, ich chytrość zniweczyć, a nawet niemi się posługiwać. Duchy dobre są to dzieci światła, bóstwa dobrego, które w promienistych potokach z niego nieustan-

nie wypływają, walcząc przeciwko złym duchom, synom nocy i ciemności, bóstwa złego, strąconego z wysokich sfer światła i prawdy, z powodu swéj pychy i zazdrości ku Orymusowi, bezpośredniemu z łona jasności wypływowi. Przeciwnik Aryman w kształcie smoka, pod hasłem nieporządku i zniszczenia, grzechu i zbrodni, pod hasłem złego, stawia niezliczone legiony złych duchów (Dews) przeciwko archaniołom (Amschatspanden) i aniołom (Izeden) dowodzącym dobrymi duchami. Człowiek w mocy i pod wpływem złych jest duchów, od których jedynie uwolnić się może silną wolą, walcząc przeciwko pokusom swego ciała, a nadewszystko za pomocą dobrych duchów, starając się im przypodobać czystością obyczajów, postem, modlitwą i dobremi uczynkami. Człowiek, który potrafił wyrzec się wszelkich namiętności, potrafił zwyciężyć siebie samego, potrafił zachować czystość, niewinność, dziewiczość ciała, którego dusza saméj tylko miłości jaśniała promieniami, saméj tylko dobroci znała popędy, taki człowiek panował nad złemi duchami i był sprzymierzeńcem dobrych, takiemu aniołowie i archaniołowie swojéj nigdy nie odmawiali pomocy i powierzali mu słowa cudownéj mocy, taki człowiek leczył wszelkie choroby słowem, i robił cuda. Ta moc czarodziejska, którą tajemniczość obrzędu upotężniała, na wieczne czasy od kapłanów perskich magią przezwaną została.

Od Persów przeszła magia do żydów, podczas ich niewoli babilońskiéj, rozjaśniwszy promieniejącym błaskiem ognistego tronu perskiego bóstwa ponurą surowość Mojżeszowéj religii, odsłoniwszy żydom nieznane duchów sfery i chóry aniołów. Nieznany też dotychczas owładnął żyda-

mi mistycyzm, wszystko zaczęło być dla nich tajemniczém, wszędzie ukryta była jakaś siła, a nadewszystko w mowie ludzkiéj i w słowie, które będąc Boga dziełem, bezpośrednim Boga darem, boską téż moc posiada. Cały swój umysł wysilali żydzi, by słowa tajemnicze wynaleźć, w Piśmie Świętém wyszukać, przekonani że temi słowami można szatana zwalczyć i wypędzić, choroby leczyć, można cuda robić.

Kabalistyka, to dziecko żydowskiéj uczoności, które się w niesłychany potwór wyrodziło, razem z żydami rozwlekła się po całym świecie, i nie za najmniéj szkodliwą plagę ludzkości uważaną być powinna, bo stała się źródłem poniżającego godność umysłu człowieka nadużycia. Mowy niektóre, szczególniéj ze starożytnych najdawniejsze, jak gdyby rajskiego jeszcze pochodzenia, uważane były za święte, ich słowa miały moc czarodziejską. Recepty nawet w Rzymie przestano pisać po łacinie, używając do nich nazwisk babylońskich i egipskich. W obłąkaniu swojém niektórzy tak dalece zabrnęli, utrzymując, że wyrazy, im mniéj zrozumiałe tém są cudowniejsze, że bełkotanie dzieci jako niewinności głos, nadzwyczaj dziwną moc leczącą posiada.

Chrześcianie początkowi także nie byli wolni od téj zarazy, szczególnie Gnostycy; słowo „abrakadabra“ cudowne, którém wszystkie leczyli choroby z téj sekty wyszło, która najwięcéj ze wschodniéj mądrości zaczerpnęła i z chrystianizmem pomięszała. Według nich z tajemniczego łona Boga ze źródła jasności (Pleroma) parzysto wypływają Eony.

Magia perska lepsze i świetniejsze miała powodzenie

jak żydowska kabalistyka, bo jakkolwiek często brudna, chciwa ręka szarlatana pod jéj uroczystą zasłoną oszukiwała, przecież najznakomitsze umysły z pomiędzy pogan i chrześcian, filozofowie jak Porfyrjusz i Plotynus, który własnego swego ciała się wstydził i który miał doradzcę w swym duchu opiekuńczym, magii hołdowali.

Magia na różne dzieliła się stopnie, podział jéj, który najpowszechniejsze znalazł przyjęcie, jest podział Porfyryusza. Nazywa on teozofią, magią działającą za pomocą samego bóstwa. Duchowém, i samém tylko świętém życiem, nieustannném bogobojném rozpamiętywaniem, oderwaniem się zupełném od świata zmysłowego i zwróceniem swego ducha w siebie samego, wpatrywaniem się w jego głębiny, rozświecą się one jasnością boską. Wówczas człowiek jakby bezpośrednio jest w stanie wpatrywać się w oblicze Boga i za życia jeszcze usamowolniony, w oczyszczeniu ducha nabywa wiedzy prawdy; materya nie stawia mu oporu, a przyszłość świeci mu jasno w łonie teraźniejszości. Teurgią, nazwał magią działającą za pomocą dobrych duchów, których cnotliwém życiem, modlitwą, postem, za łaską wszakże tylko szczególną boską, sobie zjednać i ich pomoc uprosić można. Goëtia zaś, jest magią działającą za pomocą niższych duchów, złych nawet, wzywając ich tajemniczemi słowami, zaklęciami licznie urozmaiconemi, właściwemi obrzędami i sposobami.

Ostatni ten rodzaj magii, najwięcéj upowszechnionéj, tak głęboko i szeroko w łonie ludzkości zapuścił swe korzenie, że się ostał do dnia dzisiejszego, pomimo najokrutniejszego prześladowania i najobelżywszéj wzgardy i oświecenia.

Nie mówmy, że tylko u ludu, u ludu prostego, nieoświeconego znalazła magia swoich zwolenników; rekrutowała ona we wszystkich nawet najwyższych sferach towarzyskich. Ponad tym licznym pospolitych czarnoksiężników, a raczéj czarownic tłumem, w którym ochydna obrzęduje starość, tlejąca ogniem zimnym, martwym jak ogień fosforyczny cmentarza, którego siny płomień świeci z jéj zwiędłych przenikliwych oczu urok siejąc, która zapytuje brudnych tajemniczych kart rozkładając je brudniejszą jeszcze zmarszczoną starą ręką, wydając wyrok wiekiem spustoszałemi i zapadłemi ustami, zaprawiony szyderstwem od zbywających zębów ostrzejszém; nad tym tłumem mówię dythyrambowego efektu, wznoszą się niektóre tajemnicze czarnoksięzkie postacie, cudami wsławieni magii mistrze. Najznakomitsi między nimi są: Simon czarnoksiężnik, który Neronowskie czasy swemi zadziwiał cudami, tak dalece niezaprzeczonemi, że je nawet zarzut świętego Piotra potwierdza, zarzut, że je czyni za złych duchów pomocą,— i Apolloniusz z Tyany, którego obraz Alexander Sewerus w swojém umieścił Lararium. Apolloniusz za życia jeszcze swego prawie był ubóstwianym, przypisywano mu cuda godne jedynie boskiego pomazańca; mówią o nim, że umarłych wskrzeszał, leczył cudownie wszystkie choroby, wścieklizny nie wyjąwszy, tak szczęśliwie i licznie, że nawet samego Eskulapa sławę w jego świątyniach przyćmił.

Jak rzeka wezbrana, rozlała się magia od wschodu na zachód, z Alexandryi do Rzymu, na niziny towarzyskie, z tém większą gwałtownością wszelki opór zwyciężającą, że z górnych towarzyskich warstw spłynęła, kończąc swój

bieg mętną i brudną powodzią, niezdrowéj zaraźliwéj wody kałużą, w któréj się nieczysty zebrał osad. Staczała się czarnoksiężka rzeka z górnych, powabnych, romantycznych okolic. Wszyscy biegli do niéj i wielcy władzą i szanowani powagą, świetni bogactwem, bez różnicy wieku, by w jéj tyle tajemniczych jak zwodniczych nurtach odzwierciadlającą się ujrzyć przyszłość i wiarą uzdrawiającego z niéj zaczerpnąć napoju.

Przywłaszczoną władzą rozzuchwaleni i łupieztwem wzbogaceni Rzymianie znienawidzili filozofią, która im pochlebiać niechciała; wzgardzili naukami, które trudem i pracą się nabywają; lekce cenili naukę, która na zepsucie nie umiała wynaléźć innego lekarstwa jak poprawę; unikali lekarza, który wstrzemięźliwość zalecał i z niesmacznych ziół sporządzał lekarstwa. Niezdolni już uczcić rozumu, składali owi Rzymianie szarlatanizmowi hołd, który się wiedzy i rzetelnemu doświadczeniu należy; składali hołd kuglarzom i czarnoksiężnikom, który się jedynie należy nauce. Gromadnym popędem gonili jak Aleksandryjczycy za nowością: dla nich astrologia, kabała była głęboką nauką, a magia nieomylną. W miarę jak się magia szerzyła i z kabałą konsultując cudownie wszystkie choroby leczyła, jak konsultując z astrologią zasłonę przyszłości zdzierała, nawet purpurę i berło obiecywała, wystarczała Rzymianom we wszystkich okolicznościach, we wszystkich ich życia potrzebach. Los uczonych był smutnym, a nauki na zagładę skazane tak dalece bez ratunku były, że pod czułą i troskliwą nawet Antoninów opieką podnieść się nie zdołały, a mniéj jeszcze zakwitnąć.

Z drugiéj zaś strony najsurowsze przeciwko czarno-

księżnikom i magom kary, wypędzanie ich z kraju pod niektóremi cesarzami, nietylko niezdołały wiary ludu, wiary motłochu osłabić, lecz przeciwnie jeszcze ją powiększały, zwłaszcza że cesarze sami potajemnie ich zasięgali rady i o przyszłość dopytywali. Walens panowanie swoje splamił okrucieństwem, godném Heroda, kazawszy zamordować wszystkie dzieci, których imie zaczynało się od liter T, e, o, d, gdy się dowiedział, że po nim panować będzie cesarz imieniem od tychże liter się poczynającém. Czarnoksiężnik zapytując o to losu, na trójnogu z gałęzi wawrzynu postawił miednicę metalową, na brzegu któréj, wszystkie litery alfabetu wyryte były; uwieńczywszy skronie swoje werweną, rośliną dotychczas słynną u lekarzy cudownemi przeciwko bólowi głowy własnościami; trzymał po nad miednicą pierścień zawieszony na nitce, który po wahaniu się niejakiém dotykając kolejno liter T, e, o, d, przepowiedział tym sposobem tron Teodozyuszowi.

Osamotniony uczony znosząc cierpliwie osobistą wzgardę tłumu, tłumu opętanego, bolał nad losem ludzkości, która się wyrzekła przewodnika, prowadzącego ją wolno wprawdzie i bardzo ostrożnie w ciemnym ziemskiego życia labiryncie, lecz prowadzącego niewątpliwie do celu.

Czémże jest rozum, jeżeli nie siłą w nas żyjącego ducha, światłem przyćmioném wprawdzie, jak go przyćmioném potrzebuje oko, zwłaszcza słabe, i jak go potrzebuje przedmiot w cieniu wyraźniejszy. Wiedzą krzepi się duch i dojrzewa, jak się krzepi i rozwija ciało pokarmem; nauka jest gimnastyką ducha, jest jego ćwiczeniem siły rozbudzającém. Dla człowieka duch nie jest pewnym bez zawodu poradnikiem, bo duch inaczéj zapatruje się na czas

przestrzeń jak człowiek. Materyi duch nie widzi, jest ona dla niego zupełnie czém inném jak dla nas; świat materyalny obcym dla niego jest światem, jest dla niego tém, czém dla nas metafizyka; widząc go raczéj przez nas, jak się w umyśle człowieka odzwierciadla, wolnym od pomyłek być nie może, jeżeli tak czystym nie jest by prawdę czytał w samém obliczu Boga.

Przypuściwszy zatém, że magia za pomocą duchów działa, może ona zadziwić wprawdzie człowieka, nawykłego do zwyczajnego rozwoju zjawisk, kontrolującego naturę urzędową loiką oględnego naszego rozumu, może sięgnąć gdzie rozum nie sięga, ale nieomylną niezawodnie nie jest: jéj proroctwa też najczęściéj się nie spełniały.

Zwycięztwa Rzymu w Grecyi otworzyły Grekom bramy Romulusowego grodu. Zysk przywabiał do Rzymu tłumy Greków, którzy dumnych zwycięzców podbijali i wynarodowiali, służąc im, pochlebiając i bawiąc. Nauka nawet, za którą Rzymianie Grekom hojnie płacili, bawić ich musiała, by w niéj zasmakować mogli zabobonem przesiąkli, zniewieścieli azyatyckim przepychem, rozpustą zwątleni, do wysilenia ducha nie zdolni, wyjąwszy, gdy chciwość i nadzieja łupu ich rozdrażniała. Filozofowie, retorycy i lekarze z Grecyi, z Azyi mniejszéj i z Egiptu, w Rzymie szukali i rzeczywiście znajdywali powodzenie, po największéj części niezasłużone, bo więcéj zręcznością niż prawdziwą zdatnością zdobyte. Rzymianie za mało mieli wykształcenia, za mało umysłowego rozwinięcia i trafnego sądu, choć im nie zbywało także na uczonych i wielkich mężach, by dobry zrobić wybór w tym pstrym tłumie nastręczających się greckich nauczycieli i lekarzy.

Każda szkoła, każda sekta dawała swój kontyngens, swój wymiot, miała swoich przedstawicieli więcéj z imienia jak z rzeczy. Tak zwany Pytagorejczyk zadziwiał zabobonnego rzymianina kabalistycznym swéj nauki mistycyzmem, swym światem duchów półbożkami i innemi niższego rzędu duchami napełnionym, z którymi aczkolwiek niewidzialnymi trzeba umiéć się zapoznać, by wejść z nimi w stosunki. Zachwycał go powiastkami o wędrówce dusz, o przejściu duszy Lukrecyusza w Wirgiliusza. Prawił mu o tajemniczéj potędze liczb: o świętości liczby 10 jako zamykającéj dekadę; o dziewiczości liczby 7 zwanéj Pallas, która dzieleniem ani mnożeniem nie produkuje żadnéj liczby pierwszéj dekady; o czwórce jako najdoskonalszéj liczbie, bo dodana do poprzednich formuje dekadę, bo z niéj można utworzyć piramidę, symbol ognia, duszy.

Stoicy, owi wielcy bohaterowie cnoty, nie wielu w Rzymie znaleźli zwolenników, bo jedyną Rzymian cnotą było męztwo, a to przeszło na usługę wyłącznie chciwości, od czasu jak łupy zwyciężonéj Kartaginy, o któréj zniweczenie dopominał się rzymski stoik z monomanii z zawziętością, ich rozłakomiły, od czasu jak piekielne, nieugaszone pragnienie złota każde inne przytłumiło uczucie, osuszyło serce ze szlachetnych jego soków i na brudny spaliło węgiel. Wówczas też mężny rzymianin przestał być bohaterem; wstydem dla niego było, jak u germańskiéj dziczy, nie tarcz lecz zaczepny w boju stracić oręż, gdy przeciwnie u greków tarcz stracić hańbą było, chcących tém uznać za prawdziwe bohaterstwo własną obronę, obronę kraju, która odróżnia żołnierza od rozbójnika, na zdobycz, cudzą wła-

sność czychającego, godzącego na cudzą wolność napastnika.

Stoa, ten najpiękniejszy kwiat wielkiego umysłu, pięknego i cnotliwego serca, ta najcnotlwsza córka Antystenesa szkoły, szkoły cyników, podobna do czystego gorącego źródła, z twardéj, zimnéj wytryskującego skały, ta najszlachetniejsza greckiego życia latorośl, nie przyjęła się, żyć nie mogła w zepsutéj rzymskiéj atmosferze; bo ani Kato cenzor ze wszelkiego uczucia wyzuty, złota tylko łakomy, ani Kato Utycyński, o którym Seneka powiedział: że tak był wielkim mężem, że nawet pijaństwo, któremu w nocnéj oddawał się porze, uszlachetniał, zamiast, żeby go ono kalać miało; ani Brutus, który w swojéj odwadze i męztwie nie wytrwał do końca, który zwyciężony żyć nie miał odwagi; ani nawet Marek Aureliusz, którego kocham z całéj méj duszy i który wiecznie będzie wzorem monarchów, a który przecież był słabym dla swéj niecnéj żony Faustyny, stoikami, prawdziwemi uczniami Zenona nie byli. Rzymianie umieli ich tylko podziwiać, ale ich podziwiali jak Cycero, który uwielbienia wstrzemięźliwych stoików pisał na stoliku cytrynowym 20,000 kosztującym Na tym samym stoliku pisał zapewne Cycero skargi przeciwko Werresowi, okrucieństwem i zdzierstwem wsławionemu,—obwiniał urzędników o przepych, któremu tylko przekupstwo i sprzedajność ich wydołać może. Pomijam platoniczną dla Stoi miłość Seneki, którego każdą piękną myśl zdradziło niecne uczucie, którego każde szczytne słowo zdradzoném zostało nagannym uczynkiem.

Sofistów Rzym potrzebował, na nich mu też nie zbywało. Tak zwani akademicy bez nauki, ale dowcipni, zrę-

czni i biegli w mówieniu, umiejący odgadnąć wszystkie chęci, wszystkie potrzeby i wszystkie słabości swych, nie powiem dumnych, lecz pysznych panów (czyż bowiem duma przystoi spodlonym służalcom, drżącym przed Tyberyuszem, Neronem i tylu innemi potworami, na których w Rzymie nie zbywało); umiejący im we wszystkiém dogodzić i do nich najzupełniéj się zastosować, nad wszystkiémi innemi sektami odnieśli w Rzymie zwycięztwo i stali się Rzymianom niezbędnie potrzebnemi. Nie nauczyli ich wprawdzie filozofii Platona, któréj byli fałszywymi apostołami: ale ich najzupełniéj przekonali, że zręczne słowo starczy za myśl, że dowcip tylko zdobi człowieka dobrze wychowanego, że dowcip, zwłaszcza złośliwy, starczy za rozum patrycyuszowi upadającego już Rzymu. Rozum i wiedza na przyszłość, to rzecz plebejuszów, to rzecz pracy, a praca niewolnikom tylko przystoi.

Uwierzyli im Rzymianie, nieumiejący jak krew ludzką rozlewać, nieumiejący jak cudzą własność zagrabiać, karmić się cudzą pracą, roskoszować kosztem krwi, kosztem potu i łez swych bliźnich; uwierzyli wszyscy późniejsi barbarzyńcy, dla których Rzym zepsuty był zepsucia szkołą: że żelazo krwią zbroczone w morderczém ręku uszlachetnia, żelazo potem oblane pracowitą rękę upadła; uwierzyli owi barbarzyńcy, że majątek pracą własną zebrany upośledza, gwałtem uzyskany lub odziedziczony zaszczyca; uwierzyli ci barbarzyńcy, że zaszczytniejszy jest podarunek marnotrawiącego dobro publiczne pana, najczęściéj podłą usługą ułaskawionego, aniżeli uczciwą pracą zasłużona zapłata; uwierzyli ci barbarzyńcy, że dary boskie, dary rozumu i serca, któremi Stwórca swoje wybrane

uszlachetnia dzieci, by świecili nad tłumem rozumu, geniuszu blaskiem, którego to szlachectwa patent, świeci im z czoła promieniami rozumu, ustąpić muszą przed niedołężnym lecz wysoko urodzonym potomkiem, który nawet wdzięcznym być nie umie swym bliźnim, swym rodakom, że w nim chcą uczcić cudze zasługi, zasługi ojca albo bardzo dalekiego przodka, że mu nie chcą przypomnieć zbrodni lub hańby, której winien tę niczém nieusprawiedliwiającą się urodzenia godność.

Rzymianie skeptyka woleli jak perypatetyka, woleli Pirona, który jest potwornym wyrodkiem niedowierzającego zmysłom Płatona, Pirona, który nietylko zmysłom lecz i rozumowi nie wierzył, który o wszystkiém powątpiewał: o sobie, o bycie i powątpiewać nawet był powinien o swojém własném powątpiewaniu, jeżeli chciał pozostać sobie wiernym.

Ze wszystkich systemów filozofia Epikura najświetniejsze i najpoważniejsze w Rzymie zajęła miejsce. Rzymianie bowiem, którzy już cnotliwymi być nie umieli, a za roskoszą, za szczęściem gonili, tłumnie gromadzili się pod sztandary filozofii, która po drodze szczęścia i roskoszy obiecywała prowadzić do świątyni mądrości. Jakież hasło mogło być powabniejszém dla zepsutych, jak hasło wyrodnych Epikura uczniów, jak to, że celem życia jest szukać roskoszy, a unikać bólu, że celem mądrości jest być szczęśliwym. Piękne imie Epikura posłużyć musiało najwyuzdańszéj rozpuście za miano, służyło za miano szkole, któréj wzorowym uczniem był Heliogabal.

Do szczęścia jak je pojmował Epikur, które jest czystéj duszy najrozkoszniejszą, żadném cierpieniem i sumienia

wyrzutami niezamgloną pogodą, do szczęścia takiego prowadzi tylko stoików cnota, którzy jedynie byli tak szczęśliwi jak Epikur, gdy Epikur tak cnotliwym być musiał jak stoik. Stoikom łatwiéj było być cnotliwymi jak Epikurejczykom, wierzyli bowiem w Opatrzność, wierzyli w przyszłe życie, które tak szczęścia pelne, tak powabne sobie obiecywali, że myśl ta wielka i religijna stała się nawet powodem do prawdziwéj epidemii samobójstwa. Kleombrot z Ambracyi, dowiedziawszy się, że dusza jego jest nieśmiertelną, rzucił się z wysokiéj wieży, by jednym skokiem téj nieśmiertelności dosięgnąć. Za jego przykładem poszli uczniowie filozofa Hegezyasza z Cyreny. Ptolomeusz Filadelfus musiał zakazać wykładanie téj dla człowieka pocieszającéj nauki, by szerzącemu się i wyludniającemu kraj samobójstwu tamę położyć, zachęcając zarazem poetów i filozofów do strasznych opisów Tartaru, Styxu, Cerbera i Furyj.

Epikur nie wierzył w nieśmiertelność duszy. Dusza według niego, po śmierci rozkłada i rozsypuje się w oceanie atomów; a lubo bytności Bogów nie zaprzecza, nie sądzi by się zajmowali sprawami tego świata, będąc mu zupełnie obcymi, żyjąc po za granicami jego we wiecznym spokoju niezamglonego szczęścia.

Świat, według Epikura, sam sobie wystarcza, jest on nieograniczonym oceanem atomów w łonie czczości nieustannie wirujących, skupiających się, szeregujących i układających się nieskończenie rozmaicie. Różnorodnym ruchem krążąc, odpychając się odbiciem lub przyciągając podobieństwem, tworzą one wszystkie na świecie zjawiska; myślenie nawet nie inną ma przyczynę, odznacza się tylko ru-

chem i kombinacyą najsubtelniejszych i zarazem okrągłych atomów.

Atomy, te pierwiastki niepodzielne, różne i nieodmienne, muszą być twarde, bo tym tylko sposobem da się wytłómaczyć twardość dyamentu, twardość skały, twardość żelaza, gdy są skupione i pośredniéj mniéj więcéj pozbawione czczości, która do nich domięszana robi ich nagromadzenie miękkiém, dziurkowatém, lub też jak woda płynném, jak powietrze ulotném lub jak światło lekkiém. Ciała wszystkie, które się z atomów składają, w niczém do swych elementów nie są podobne. Własność ciał jest wypadkiem ich składu, ich rozmaitéj kombinacyi kształtu. Nie mają one czucia, choć ciała czuciem obdarzone składają, nie mają barwy, choć czarują w pewnych swych kombinacyach uroczemi kolorami. Atomy ogień składające palą i w płomienistéj piramidzie wznoszą się pomimo własnéj ciężkości w górę, inaczéj ułożone formują drzewa miąższość. Młyńskie kamienie rozcierając ziarna, krwią się nie zbroczą i nie odkryją w nich cząstek kostnych lub mięsnych, a przecież w nich są krwi pierwiastki, ich atomy wchodzą do składu kości i nerwów. Też same atomy mogą być wspólne nieskończenie rozmaitym ciałom, różniąc się w nich tylko układem i kombinacyą inną. W swym urozmaiconym ruchu szukają atomy harmonii i w swym składzie zawsze ją tworzyć usiłują według odwiecznych natury praw. Życie, a nadewszystko życie człowieka jest takiéj harmonii, (która jest duszą jego) najwdzięczniejszą symfonią.

Epikur nauczając, że rozumowanie samo jest zwodnicze, że zmysłami i fantazyą prawdę tylko odkryć można, że doświadczeniu tylko ufać należy, naraził uczniów i zwo-

lenników swoich na prześladowania Akademików, Sofistów i na prześladowanie nowo nawróconych Chrześcian, którzy przeciwko nim zawzięcie wojowali; zwycięztwo przeciwników na tém polu było tém łatwiejszém, że sam Epikur najjawniejszéj dopuścił się sprzeczności. Wszakże elementa, jego atomy wieczne i nieodmienne, żadnym sposobem przedmiotem zmysłów ani doświadczenia być nie mogą, są one tylko pierwiastkiem wyrozumowanym, myśl je szukać musi w niedościgłych głębinach nieskończonego bytu, którego granic nawet lotna myśl nasza nie dosięgnie, bo uciekają ciągle przed nią kryjąc się w nieskończonych rozmiarach wielkości i drobności, kryjąc się w rozmiarach milionowych powiększeń największego naszego o wielkości pojęcia, kryjąc się w milionowych zmniejszeniach najmniejszego naszego o drobności wyobrażenia.

Na tym opierając się systemacie, na systemacie korpuskularnym, szukał w Rzymie szczęścia Asklepiades z Bitynii, który w Alexandryi pod Kleofantem się kształcił, w Atenach retoryki nauczał obcując tamże przyjaźnie z Antyochem, Cycerona nauczycielem.

Asklepiades uczony, wymowny i nadzwyczaj w obejściu zręczny, wkrótce nabył w Rzymie wielkiéj lekarskiéj wziętości i sławy, zjednawszy sobie uczonych, gardzących prostymi Empirykami, tém że badał przyczynę chorób, że starał się zjawiska chorób zrozumieć i tłumaczyć; zjednał sobie chorych, pochlebiając rozpieszczonemu podniebieniu doborem swych lekarstw, zalecając Rzymianom ulubione wino, jako w wielu chorobach nadzwyczajnie skuteczne, potępiając nadużycia owczesnych lekarzy, gwałtownemi działających środkami, szczególnie wypróżniającemi. A lu-

bo sam po większéj części zalecał w chorobach dyetetyczne tylko środki, ganił przecież zbyt bezczynnych Hippokratesa zwolenników, zarzucając nawet samemu ich mistrzowi, że niczém innném nie był, jak saméj tylko śmierci spokojnym badaczem. Jakże nie miał się podobać lekarz, który obrał sobie za hasło: tuto, cito et jucunde; jakże nie miał zyskać zaufania człowiek, który swojém ani na chwilę niezswankującém zdrowiem chciał Rzymianom dowodzić, że umie nad zdrowiem czuwać, że wszystkie jego poznał warunki; który nareszcie w późnéj starości nie z choroby lecz przypadkowo umarł.

Asklepiades pierwszy w Rzymie zaprowadził i upowszechnił leczenie chorób zimną wodą, używając ją zewnętrznie i wewnętrznie. Cesarz August temu sposobowi leczenia winien był swoje wyzdrowienie z choroby długiéj prawie od dzieciństwa trwającéj. Lekarza swojego Muzę wynagrodził stawiając na cześć jego kolumnę w świątyni Eskulapa i milionowym obdarzywszy go majątkiem. Asklepiades pierwszy podzielił choroby na akutne i chroniczne. Zapalne leczył śmiałemi krwi puszczeniami; radząc jednak, by miano wzgląd na klimat i miejscowość, mniéj bowiem szczęśliwie upuszczenie krwi leczy zapalenia w Rzymie, jak nad Hellespontem. Pierwszy w krupie z pomyślnym skutkiem wykonał bronchotomią.

Obok przyjaźni znakomitych ludzi, przyjaźni Cycerona, trzeba jeszcze było wielkiéj zręczności, wielkiéj naukowéj powagi, aby się utrzymać na tém wyzywającém stanowisku, na jakiém stanął Asklepiades. Jeżeli łatwą dla niego było rzeczą, owych cudownych zwyciężyć lekarzy, którzy ciemnego motłochu nigdy bożyczczami być nie prze-

staną, któremi oświeceni Rzymianie gardzić zaczynali, jeżeli łatwo było wziąść górę nad Empirykami, trudniéj było pokonać nauką usposobionych; tych, przyjmujących oprócz mięszaniny elementów materyi jeszcze cieplik wrodzony i ducha działanie, pokonywał ironią dumnéj zarozumiałości i zuchwałém szyderstwem ateusza. Tą bronią obalał i niweczył morszywą budowę starego dogmatyzmu, niedołężnie przez swoich słabo usposobionych wyznawców podpieranego.

Asklepiades nie umiejąc, albo raczéj nie chcąc dopatrzyć celu kreacyi, nie sądził by co innego światu, jak przypadek, początek dać mogło, odrzucił wszelką myśl sił nadprzyrodzonych, nie przyjął przyczyny działającéj z zamiarem i wolą, drwił z mądrych natury celów; przypadkiem powstałe rzeczy nie mogą miéć celu, przypadkiem utworzone organa nie mają przewidzianego przeznaczenia.

Niedorzecznością, według Asklepiadesa, jest powiedziéć, że oko jest stworzone na to, by widziało, ucho by słyszało. Wznowił budowę medycyny, na korpuskularnéj wznosząc ją podstawie, na systemacie Epikura, który go poprzedził w Rzymie wyłożony pięknym wierszem Lukrecyusza. Wprawdzie temu systematowi nie zupełnie był wiernym, przyjął raczéj naukę Heraklida z Pontu, ucznia Platona i Arystotelesa, który starą atomistyczną odświeżył filozofią, tém się różniąc od dawniejszéj szkoły eleatyckiéj i od Epikura, że elementa materyi, atomy, które szkoła eleatycka i Epikur za nieodmienne, różnorodne i niepodzielne uważali, on, Heraklid sądził, że są bezkształtne, zmianie uległe, łamliwe i nierówne.

Tę właśnie zasadę przyjmując Asklepiades twierdził: że

przypadkiem w łonie czczości odwiecznie, chaotycznie rozrzucone ciałka bezkształtne, łamliwe i różnorodne, zbiegły się i w nieustannym ruchu wirując, ścierają się i rozdrabniają. Z najdrobniejszych ich ułamków powstały wszystkie ciała widzialne, powstał przypadkiem i organizm ludzki. Ruch regularny i swobodny tych ciałek, czczemi rozłączonych miejscami, ruch niedozwalający nagromadzenia atomów i zapchania czczych miejsc czyli porów, utrzymuje w zdrowiu organizm; pokarmy i powietrze coraz nowych dostarczają, w miejsce zużytych ciałek. Męszanina najdrobniejszych, najsubtelniejszych z powietrza przez płuca wessanych, serce i arterye wypełniających, tworzy według niego to, co przypisywali dogmatycy siłom nadprzyrodzonym, co przypisywali cieplikowi wrodzonemu, co inni przypisywali pneuma, (πνεῦμα) powietrzu żywotnemu, co stanowi enormon (ἐνορμόν) Hippokratesa, co stanowi spiritum—siłę żywotną—duszę.

Grecy w ogólności a nadewszystko Stoicy, którzy bytu niematerialnego wcale nie pojmowali, coraz subtelniejszéj materyi, coraz szlachetniejsze, coraz duchowniejsze przypisywali własności. Bóg, którego nie mniéj jak Platon czcili jako najwyższą mądrość, która światem rządzi, mając dobre za cel, był Istotą najsubtelniejszéj i przeto najdoskonalszéj materyi. Siła i myślenie własnością tylko jest materyi, tém potężniejszą im ona jest subtelniejszą. Jeżeli gruba materya w zwierzęciu czuje, mniéj gruba i szlachetniejsza w człowieku myśli, działa i stwarza; najsubtelniejsza, własności te w najwyższym posiadać będzie stopniu.

Dla wielu ogień, dla innych eter był taką materyą, taką substancyą: nazywają go przeto Ojcem Eterem (Pater Ae-

ther). Anaxagorasa Nus (νοῦς), dusza rozumna, złożona była z najsubtelniejszych i najlżejszych atomów.

Stanowisko materyalne, jak z tego widzimy, nie koniecznie prowadzi do ateizmu, prowadzi do niego umysł chory i nieloiczne jego rozumowanie. Tym zarzutem napiętnował Asklepiades swoją pamięć, swój systemat i swoje stanowisko filozoficzno-lekarskie: przyciemniając zarazem użyteczne pomysły praktyczne, rzadkim nawet w dziejach lekarskich szarlatanizmem. Przekonany, że skromnością i nauką nie zdoła uzyskać zaufania tłumu zabobonnego, nieoświeconego, który gardzi tém czego nie rozumie, a lekce ceni to bez czego się sam obywa, starał się oryginalnością i wyosobnieniem zwrócić na siebie uwagę. Ateistą téż zapewne był z wyrachowania więcéj, jak z przekonania. Uważając organizm jako zbiór przypadkowy, lubo regularny różnorodnych atomów, a życie uważając jedynie za ruch mechaniczny takowych, mógł się obejść bez głębokiéj znajomości anatomii, by ze swego stanowiska wytłómaczyć i leczyć choroby. Nadmiar atomów, albo tłumne nagromadzenie się takowych w jakiém miejscu ciała, zmniejszające jego dziurkowatość, ścieśniające pory organizmu, tamujące swobodny ciałek ruch, powodowało choroby gorączkowe i zapalne, które jak Erazystrat z zatkania (statio) wywodził. Stan przeciwny, odznaczający się niedomiarem atomów, ich rzadkością że tak powiem, zbyteczném rozwolnieniem ciała i rozprzestrzenieniem jego porów, stanowiło chorobę, zatkaniu przeciwną, którą nazwał paremptosis (παρεμπτῶσις). Mniejsze lub większe gorączki niebezpieczeństwo, zależy od większéj lub mniejszéj ciałek zapychających objętości, wielkości. Grubsze atomy powo-

dują gorączki niebezpieczne, febry gwałtowne; gdy drobniejsze i najsubtelniejsze atomy, lżejsze choroby sprowadzają.

Themison, uczeń jego więcéj jeszcze rozwinął i usystematyzował naukę Asklepiadesa, tak dalece, że uczeń nie mistrz, uchodzi za założyciela szkoły Metodystów.

W najrozmaitszych chorobach szukając Themison, co by im było wspólném, na trzy communitates wszystkie podzielił, w jednych, stosunkowo do porów, atomy są w nadmiarze, tak dalece: że ruch ich jest tamowany a pory stosunkowo za ciasne, co nazwał „strictum;" w drugich, stan przeciwny ma miejsce, stosunkowo przemaga czczość w organizmie, dziurkowatość jego z powodu niedomiaru atomów, co nazwał „laxum"; wszystkie inne zaś choroby, które ani do pierwszego ani do drugiego stanu policzyć nie było można, zarachował do trzeciego stanu, który nazwał „mixtum":

Szkoła Themisona niewątpliwie wielkie położyła zasługi w medycynie, jakkolwiek z niewłaściwego stanowiska zapatrywała się na choroby, jakkolwiek na drodze niewłaściwéj śledziła przyczynę zjawisk chorób, przecież kładąc za konieczny warunek lekarzowi, chcącemu leczyć chorobę, aby poznał stan organizmu, aby choroby najbliższą przyczynę odgadł, wyrwała ją z rąk najgrubszego i ślepego empiryzmu i byłaby wróciła medycynie dawniejszą godność naukową, gdyby uczniowie jéj większe byli mieli naukowe usposobienie.

Oprócz Soranusa, któremu znakomitego naukowego wykształcenia odmówić nie można, a zasługującego przeto na tém ostrzejszy sąd z powodu swego ateizmu i zaprze-

czenia człowiekowi duszy, metodyści po największéj części, byli ludzie bez wychowania i naukowéj dojrzałości, a przecież chełpliwość ich, żadnych granic nie miała.

Każdy z nich uważał się, jeżeli nie za twórcę medycyny, to przynajmniéj za jéj reformatora. Przypominam tu oburzające samochwalstwo Thessalusa, że w przeciągu sześciu miesięcy, każdego sztuki lekarskiéj wyuczy, Thessalusa, który pisząc do Nerona, założycielem się nazywa nauki leczenia, który z zuchwałém lekceważeniem, z pogardą mawiał uczniom swoim, z którymi miał wzorowy zwyczaj wszystkich swoich chorych odwiedzać, o dawniejszych lekarzach; nawet Hippokratesa oskarżał ten nieuk, że swych chorych niewłaściwemi pokarmami opychał.

Metodyści tak dalece lekce cenili doświadczenia Hippokratesa, że jego proroctwu, jego przepowiadaniom w chorobach nie wierzyli, wszelkich zachodów krytycznych zaprzeczali i dni krytycznych nie przyjmowali; naturze bowiem nie przyznawali żadnych sił szczególnych, by niemi czegoś dopiąć mogła: na takowe też jako leczące, się nie spuszczali.

Obok takich zasad, jakże zrozumiéć, dla czego w leczeniu trzymali się niewolniczo metody, dla czego zabobonnie trzymali się trzydniowego okresu w przepisywaniu lekarstw, w przepisywaniu dyety i innych środków leczenia?

Gdy jednakowoż wspomnimy na Coeliusa Aureliana, nie możemy szkole metodystów, która leczenie do zasad bardzo prostych sprowadziła, a nadewszystko, że je na wskazaniach oparła, odmówić znakomitych jéj dla cierpiącéj ludzkości usług. Coelius Aurelianus bowiem, który dokładnie opisał choroby i ich symptomata i podał rozsądne

i skuteczne niektóre sposoby ich leczenia, szczęściem dla ludzkości był jedynym lecz i dobroczynnym poradnikiem w rękach mnichów, którzy sami byli i sami tylko być mogli lekarzami w owych smutnych czasach, gdzie oświata była bezbożnością, rozum grzechem, a nauka zbrodnią.

Stanowisko Asklepiadesa i całéj od niego poczętéj szkoły metodystów, jestże czém inném względem wysokiego stanowiska, bogatego dla wyobraźni i myśli Pitagorasa, Anaxagorasa i Platona jak tém, czém jest pusta bez śladu życia pustynia, względem roskosznéj, pełnéj życia oazy? Ruch mechaniczny i przypadkowy ciałek, którym chcą owi sektarze tłómaczyć budowę świata, zjawiska życia, podobny jest do wirującego pyłu i piasku miotanego wichrem na pustyni, nie zaś do tego ruchu żywotnego, który matematycznem prawem, harmonią podług Pitagorasa, kojarzy i łączy podobne do podobnych cząstek pod wpływem rozumnéj duszy, jak uczy Anaxagoras; by stwarzać według bozkich wzorów, mając wszędzie dobro na celu, jak mówi Platon. Idea organizmu, tak dalece u Asklepiadesa i podobnych jemu zmarniała, że indywidualności jego, bez narażenia się na sprzeczność, usprawiedliwić nie byli w stanie, którą Grecy przecież tak jędrnie pojmowali, nazywając człowieka mikrokosmem, od czasu jak Thales pierwszy pomiędzy nimi siłę w nim czynną, działającą, od któréj wszelki ruch pochodzi, uosobiścił, że tak powiem, nazywając ją demonem, bóstwem, i takową porównał z siłą, z bóstwem w świecie działającém, którą nazwał duszą świata.

Jeżeli starożytni, organizmu nie pojmowali jeszcze jako całości z własnego zarodka wewnętrzną siłą rozwijającéj się, jako jedności wewnętrznéj pomimo swego rozczłonkowa-

nia, jako jedności, w której część i całość zarazem jest środkiem i celem; idea, która nowszéj fizyologii za podstawę służy; dostrzegli przecież w organizmie harmonią, która wszystkie jego części, wszystkie organa jednoczy ku wspólnemu celowi: confluxus unus, conspiratio una, consentientia omnia. Myślą tą wielką Hippokrates proroczo przepowiedział Cuvier'go, który z pojedynczych kości, ich ułamków i szczątków oddawna zatraconych zwierząt, odgaduje ich kształt, ich rodzaj i życia warunki.

Więcéj jak na organizm, jak na ciało, na machinę, zwracali greccy filozofowie i lekarze, całe natężenie swéj myśli na siłę czynną, która machiną porusza, ciała jest architektem, jest jego władcą; na duszę, która czuje i myśli, która rozumna, nieśmiertelna w głowie tronuje, gdzie zmysłów stolica; która serce zrobiła namiotem szlachetnego gniewu, cnotliwéj odwagi i męztwa, by pokonywało i zwyciężało niesforne duszy śmiertelnéj, bezrozumnéj żądze, szaloną i bezrozumną miłość, któréj żar roznieca wątroba, któréj nadała powierzchnią szklącą i okrągłą, by w tém zwierciadle rozum mógł się przeglądać i odbić i na żądze wpłynąć radą i wolą, jak to pojmuje i wyobraża sobie Platon.

Myśl, że dusza jest ognistą, że jest ciepłem, naraziła Arystotelesa i najznakomitszego z uczniów jego Praxagorasa na poparcie błędu, wówczas w Grecyi powszechnie przyjętego, że mózg jest tylko gruczołem śliz wydzielającym, jest przyrostkiem wybujałym mlecza pacierzowego, organem mało użytecznym, prawie niepotrzebnym, jak naucza Philotym; bo jest natury zimnéj, jest tylko ściekiem wszystkich całego ciała humorów, które jak gąbka wciąga i niemi się nasyca; nie może zatém być siedliskiem duszy i ro-

zumu; powołaniu temu serce jedynie jest przeznaczone, szczególnie jego lewa połowa, którą wypełnia powietrze żywotne (πνεῦμα) gdzie ciepło wrodzone ma swoje ognisko.

Największa część uczonych szkoły ateńskiéj i późniejszéj alexandryjskiéj, głowę, tę najgodniejszą część ludzkiego ciała, odznaczającą się najdoskonalszym, bo okrągłym kształtem, którą czoło uszlachetnia, którą twarz, to zwierciadło duszy, zdobi, zwłaszcza jeżeli piękno, ją sobie za tron obrało i na nią wszystkie swe zlało wdzięki; głowę mówię za jedynie godny przybytek rozumnéj duszy osądzili. Jedni z nich nauczali, że dusza przesiaduje w błonach mózgowych, inni, że w saméj miąszości mózgu, że jest rozumniejszą w miarę jego wielkości, w miarę liczniejszych i głębszych jego fałdów; przecież najznakomitsi mniemali, że w komórkach jego przemieszkuje rozum, ta istota myśląca, duchowa, która jest najczystszą, najlotniejszą częścią ciepła wrodzonego krwi, eterycznéj jego pary, która jest najsubtelniejszą częścią powietrza żywotnego πνεῦμα ψυχικὸν jak je Erazystrat nazywa, które ruch mózgu, oddechowemu płuc podobny, ku sobie przyciąga z serca, gdzie przemieszkuje oddechem nieustannie odświeżone pneuma zwierzęce (πνεῦμα ζωτικὸν).

Powietrze, owo ożywcze, lub pneuma, albo eter, jak je naprzemian i bez różnicy Arystoteles nazywa, nie jest dla ściślejszych samą duszą, jest ono tylko rozczynem, vehiculum, téj istoty niepojętéj, nieśmiertelnéj, téj siły boskiéj, służąc jéj za pośrednika wcielenia się, łączenia się z materyą i odbierania wrażeń ze świata zewnętrznego.

W miarę jak w szkole alexandryjskiéj, szczególnie też usiłowaniem Herofila i Erazystrata dokładniéj obeznano się z budową mózgu i z niego wychodzącemi nerwami, które z Arystotelesem uważali za kanały mózgowe πορoι będące w związku z komórkami mózgowemi, łatwiéj pojmowali ze swego stanowiska wszechwładztwo duszy nad ciałem, poznawszy drogi, kanały czyli nerwy, po których z komórek mózgowych rozchodzi się płyn tajemniczy po całém ciele, przenikając go wszędzie, tworząc nieprzerwaną warstwę, atmosferę duchową, rozlaną po nieprzerwanéj powierzchni, w którą się zlewają ostatecznie gałązki nieskończenie rozgałęzionych nerwów. Emanacya ta duszy od mózgu, albo raczéj z jam jego przez nerwy czyli kanały, rozpromienia się zewnątrz ciała, dotyka się poniekąd przedmiotu szczególniéj w akcie widzenia, i tym sposobem według jednych, dusza odbiera wrażenie przedmiotu, dostrzega kształt jego, jego barwę, jednem słowem, widzi go i ocenia odległość bezpośredniém, że tak powiem, dotknięciem. Platon mniéj szczęśliwie widzenie pojmuje, jako spotkanie się dwóch emanacyj, światła wychodzącego z oka i światła zewnętrznego, które w spotkaniu wzajemném krzepną, tężeją, tworząc obraz przedmiotu widzianego.

Arystoteles, lubo pierwszym był który odkrył, że nerwy z mózgu pochodzą, że są jakby jego przedłużeniem, przecież zgodnie z wyobrażeniem swojém o mózgu, za narzędzia czucia ich nie uważał i mianem nerwów wspólném więzadłom i ściągaczom, bez różnicy nazywał. Herofilowi, a szczególnie też Erazystratowi, winna anatomia dokładniejsze nerwów poznanie. Erazystrat odróżnił, jak to już wspomnieliśmy, nerwy czucia miększe od nerwów ruchu

twardszych, które ostatnie początkowo jeszcze z błon mózgu wywodził, gdzie także, nim go Herofil przekonał, siedlisko duszy mieścił. Marynus, którego Galen nietylko odnowicielem, ale najznakomitszym anatomem nazywa i Rufus z Efezu, znany z licznych małp rozczłonkowań, odkryli nowe nerwów pary i różnicę nerwów, na nerwy czucia i ruchu nieodwołalnie ustalili; nie uszło im nawet, że niektóre nerwy, choć wspólny mają początek w przebiegu swoim, dzielą się następnie na gałązki, służące jedne do ruchu, inne do czucia. Znali też przeznaczenie wielu nerwów służących do węchu, widzenia, poruszenia oka, do ruchów twarzy, słuchu, smaku, wydawania głosu i t. d Marynus podobno pierwszy zaczął parami liczyć nerwy mózgu, których siedm poznał. Sam odkrył nerwy podniebienia i nerwy głosu, pierwsze nazywano wówczas parą czwartą, drugie parą szóstą.

Rufus, obok nerwów, ściśle także śledził i rozpoznawał budowę serca, któremu Arystoteles hegemonią w ciele, pierwszeństwo nad mózgiem, według niego do ochłodzenia jedynie krwi służącym, przyznał; Stagiryta bowiem, w sercu nietylko szukał życia źródła, nietylko je uważał za ognisko ciepła wrodzonego, za siedlisko pneumatu, powietrza żywotnego, lecz nawet za samego rozumu przybytek.

Gdyby nie jarzmo powagi, jarzmo przesądu, które niestety zbyt często wolność sądu najznakomitszych umysłów krępuje, siłę najlotniejszéj myśli tamuje i zniewala, Erazystrat byłby się niewątpliwie okrył chwałą, która imie Harvey'a uwieczniła, tak bowiem już dostatecznie znał serce i jego klapy, którym nazwiska ponadawał, znał ich użytek, wiedział, że wsteczny bieg płynu tamują; Erazystrat byłby

odkrył krwi krążenie, gdyby wolnym od przesądu umysłem nie był przyjął bez ścisłego badania starej nauki, że arterye powietrze żywotne, pneuma wypełnia, twierdzenie, które już za czasów jego i Herofila, musiało znaléźć przeciwników; bo nie bez przyczyny dowodzi, że arterye krwi prowadzić nie mogą, odwolując się do prawdy, że natura nic bez celu nie czyniąc, nie byłaby utworzyla dwóch rodzajów naczyń, arterye i weny, do mieszczenia w sobie tego samego płynu. Znając przejście wzajemne arteryj i wen, przejście, które się odbywa w miejscu wspólnego zlania, w miejscu, jak gdyby pośredniém, które nazwał parenchymatem, łatwo mu było wytlómaczyć przejście powietrza żywotnego do żył, do krwi, skąd zapalenia i gorączki wywodził, jak, i przejście krwi do arteryj, usiłując tym sposobem przez zabląkanie tego płynu tlómaczyć krwawienie płynienie krwi z ranionéj lub otwartéj arteryi, co przeciwnicy słusznie za oczywisty dowód przytaczali, że arterye nie powietrze lecz krew wypełnia. Zaślepienie Erazystrata i obłęd, którym uprzedzenie go czaruje, tém więcéj nas zadziwia, że umysł jego nie był do służalstwa sklonnym, bezwarunkowo nie poddawał się niewoli powagi; bo choć czcił tak dalece Hippokratesa, że nie jego, lecz najznakomitszych zwolenników tylko imiona wspominał, gdy jego zasady zbijał, przecież odrzucił naukę o cieple wrodzonêm, któréj Hippokrates tak gorąco hołdował. Cieplo zwierzęce uważał za nabyte nie wrodzone, za przyczynę jego podając *πνεῦμα* źródło wszelkiego życia, pulsujące w arteryach, które ściągające się rozszerza, różniąc się od Herofila, który pierwszy wyłącznie pulsowanie arteryj, od ściągania i rozszerzania (od systoli i dyastoli) serca wywodził.

Lekarze i uczeni greccy bez wyjątku zgadzali się na to, że powietrze jest wszelkiego życia źródłem, jego żywiołem, że razem z niém przez oddychanie ciału naszemu udziela się dusza świata, która z duszą jego, jak mówi Heraklid, na téj drodze nieustannie się łączy i jednoczy. Wciąganie to czyli oddychanie, większa część tłómaczyła, jak to już nauczała szkoła Pitagorasa, a szczególnie Empedokles, mechanicznie; twierdząc, że powietrze zewnętrzne tłoczy się ku płucom i je napełnia w skutek próżni exspiracyą zrządzonéj, skąd przez żyłę arteryalną przechodzi do lewego serca i wszystkie z niego biorące początek arterye, wypełnia. Budowa gębczasta płuc, jak o niéj mówi Arystoteles, wełnista jak mówi Areteus, usposabia je do czynności oddychania, to jest wciągania powietrza i wyziewania, czynność, którą Herofil porównywając z systolą i diastolą (ściąganiem i rozszerzaniem) serca, od swych poprzedników żywotniéj pojmuje, przyznając płucom, jakby pragnącym powietrza, uczucie żądzy. Areteus przeciwnie płuca pozbawione nerwów i włókien mięsnych, jako zupełnie nie czułe uważa, bo inaczéj, mówi on, czyżby bezpłucni, suchotnicy nad grobem stojący oddychać mogli tak swobodnie, bez bólu i czyżby mogli mieć tak różane jeszcze ziemskie nadzieje? Mniéj zgadzali się na to, co oddychając z płuc wyziewamy; sądząc po ilości, mniemali niektórzy, że większą część oddechem wziętego powietrza nazad wyziewamy, że małą tylko jego ilość, część najczystszą, najżywotniejszą powietrza (πνεῦμα) przez żyły arteryalne z domieszaną małą cząstką w kanale oddechowym napoju, jak mówi Platon, a powtarza Arystoteles, z płuc do lewego serca przechodzi. Platon przypuszcza nadto, że expiracya wyprowadza z ciała najlotniejsze jego zbyteczne elementa; ogień i po-

tak dalece nieomylnym, że o nim mówiono: non Galenus sed natura errat, gdy w opisach jego anatomicznych dostrzeżono niezgodność z naturą, że Galen mówię, z obawy szyderstwa i krytyki zaprzestał publicznego wykładu, a nareszcie zniechęcony, Rzym opuścił, zostawiwszy go na łup tych, których bezrozumna i oszukana publiczność, na własne swoje nieszczęście, za bożyszcza sobie obrała.

Cóż, pytam się tych, którzy po takiéj tłuszczy sądzą medycynę, mogą mieć wspólnego tacy lekarze, którzy są hańbą swego stanu i klęską ludzkości, z tą odwieczną świątynią genijuszem greckim wzniesioną, w któréj medycyna i filozofija wspólny miały ołtarz, która upadała, w miarę jak nikła oświata, która pustoszała, w miarę jak przemoc nienawistnie ścigała nauki i uczonych, która rozpadła się jak ruina i byłaby bez śladu zniknęła w gruzach starożytnego świata, gdyby Galen jéj skarby w ogromnych swych dziełach nie był zachował i niemi oświecał, po zaszłém słońcu wiedzy i oświaty greckiéj, jak księżyc, długą, wieki trwającą, noc barbarzyństwa.

Galen zebrawszy rozproszone promienie licznych gwiazd, które świeciły wiedzą na horyzoncie naukowym Grecyi, wzniósł się potężnym swym genjuszem do najwyższego szczytu, którego oświata starożytna dosięgnąć zdołała. Był on również wielkim filozofem jak lekarzem, w jego poszukiwaniu i zgłębianiu natury przewodniczyło mu zawsze głębokie uczucie czci dla Stwórcy, głębokie uznanie mądrości i potęgi Boga, odkrywając dobroczynne jego cele, dopięte najtrafniejszemi środkami. Słowa jego własne któremi karci zuchwałych półmędrków wątpiących o twórczéj Opatrzności, jakże są szczytne, aż do gniewu pałające:

„Miałżebym, mówi on, jeszcze dłużéj rozprawiać z tym zbydlonym motłochem i zasłużyć na sprawiedliwą naganę ludzi rozumnych, że profanuję świętą mowę, że czci ujmuję mowie, która tylko zabrzmieć powinna w hymnach i śpiewać chwałę Stwórcy. Nie na setnych wołów ofierze, ani na paleniu tysiącznych najwonniejszych kadzideł zależy szczera pobożność, lecz na uznaniu i rozgłaszaniu mądrości wszechmocy, nieskończonéj miłości i dobroci Ojca istot, który miłością niewyczerpaną i dobrocią nieograniczoną opiekuje się zarówno wszystkiemi istotami i na nie zlewa bezstronnie co każde potrzebuje do swego szczęścia. Miłosierdzie i Opatrzność taką chwalmy uroczystym śpiewem!... Jakiéjże mądrości dowodzi wybór doskonały środków by dopiąć dobroczynnych swych celów, jakiéjże potęgi i wszechmocy dał dowody, stwarzając rzecz każdą najzupełniéj odpowiednio swemu przeznaczeniu by się stało zadość Jego woli.“ Boga jednak w całéj twórczéj nieograniczoności, jak go chrześcianie uznają, nie pojmuje jeszcze; przyznaje się sam, że się różni w tym względzie od Mojżesza że się zgadza raczéj z Platonem, Arystotelesem i z tymi wszystkimi, którzy się głęboko z naukami natury obeznali utrzymując, że materya odwieczna ma sobie właściwe i wewnętrzne warunki, którym Stwórca uledz musi; gdy przeciwnie Mojżesz utrzymuje, że dość by Bóg zechciał, a materya się porządkuje według woli Jego, że mocen jest z kupy popiołu stworzyć wołu lub konia. „My“ mówi daléj „inaczéj sądzimy, my wierzymy że są rzeczy same przez się niepodobne, których się Bóg nie tyka, lecz że najlepsze wybiera pomiędzy temi, które są możebne.“

Jeżeli Galenowi można przebaczyć że mówiąc o Bogu

wietrze zbyteczne ciału, do utworzenia którego więcéj wody i ziemi potrzeba. Stoicy wraz z Arystotelesem oddychanie za środek ochłodzenia zbytecznego żaru krwi uważali, któréj tworzenie się w ciele ze wszystkich w starożytności Erazystrat najlepiéj pojmował. Gdy bowiem powszechnie poprzednicy jego serce prawe za miejsce, w którém się krew wyrabia uważali, on pierwszy w wątrobie szukał jéj źródła, gdzie oczyszcza się z żółci jakby z drożdży płyn krwisty, żyłą wrotną do niéj wprowadzony w kanale kiszkowym czerpany. Gałązki żyły próżnéj podejmują oczyszczoną krew w wątrobie, wprowadzają ją do prawéj przedkomórki, skąd do prawéj komórki serca, a przez arteryą żylną do płuc przechodzi, rozchodząc się tamże po najdrobniejszych naczyńkach, gdzie podobnie jak w innych częściach ciała ruch ciągły i wzajemne przenikanie się krwi i powietrza żywotnego, pneuma, utrzymuje życie i zdrowie jak mówi Platon.

Jakkolwiek oswojeni jesteśmy ze sprzecznościami, w które tak często wpadali filozofowie greccy, zadziwiać nas jednak musi, gdy Platon, ten wzór idealistów mówi: że gdy troskliwie badał przyczynę rzeczy, chciał sobie także i z myślenia zdać sprawę, chciał dojść co w nas myśli, czy to krew, czy powietrze, czy ogień. Z tych słów wcale nie platonicznych wynika przecież, jak wysoko ten mędrzec o krwi mniemał, o któréj w inném miejscu mówi: że życie zależy od ognia i pneuma, a źródłem tego ognia jest ciepło krwi, ognia, który nie tylko pokarmy rozpuszcza i trawi, lecz nadto zamienione przezeń w parę, przenikającą naczynia, jako sok pokarmowy w ruchu utrzymuje i po całym rozprowadza organizmie, w którym jak w miakrokośmie jedno-

czą się części zpokrewnione: podobne przyciąga i łączy się z podobnem. Kolor czerwony krwi, bardzo lekkomyślnie wprawdzie, od przeważającego w niéj elementu ognia wywodzi.

Arystoteles, który tyle lubił się od swoich poprzedników różnić, ile Platon ich zdania przyjmować i godzić, w nauce o krwi także od swego odstępuje mistrza. Posądzając krew o zupełny brak czucia, uważa ją za siedlisko duszy dla tego tylko, że dusza jéj cieplem się krzepi i utrzymuje. Krew mówi on, jest sokiem najłagodniejszym, sposobnym do ożywienia ciała, bo łatwo tężeje i krzepnąc włókna tworzy. Arystoteles utrzymuje, że może się stać za gęstą, za rzadką, za wodnistą i stąd stać się powodem chorób, również, jeżeli krew jest za gorącą lub za zimną, za wilgotną lub za suchą. We krwi wprawdzie znajduje się flegma, żółta i czarna żółć, lecz odosobnione w niéj nie są.

Trawienie w żołądku Erazystrat mniéj szczęśliwie od swych poprzedników tłómaczy; odrzuca działanie ciepła wrodzonego, rozkładającego, rozpuszczającego według Platona w żołądku pokarmy, odrzucił fermentacyą, któréj hołdował Plistonikus, nie przyjął siły przyciągającéj i zmieniającéj żołądka, siły wprawdzie więcéj dogodnéj jak objaśniającéj. Tarcie tylko ścian żołądka za istotną przyczynę zmieniającą pokarm i rozdrabniającą, za przyczynę trawienia uważał: myśl, która jakkolwiek błędna, przecież wieki przetrwała, aż ją Spalanzani zbił prostém doświadczeniem. Wszakże według Erazystrata i w zachodzie trawienia jak we wszystkich czynnościach żywotnych ciała, pneuma najgłówniejszy i najżywotniejszy bierze udział, bo w żołądku mieszając się do pokarmu, przenika go i główną jest przy-

czyną tych zmian, przez które pokarm staje się pożywnym dla ciała sokiem. Sok ten przez naczyńka żyły wrotnéj z wessanéj w wątrobie żółci, zupełnie jak utrzymuje Erazystrat dla ciała niepotrzebnéj, oczyszczony, przechodzi nareszcie do żyły próżnéj i t. d. jak to już wyżéj wspomnieliśmy i rozchodzi się po całém ciele, służąc do jego wzrostu i odżywienia.

Erazystrat chcąc przenikliwie wejrzéć w tajemnice odżywienia, mówi: że niepodobna pomyśléć o tak drobnym nerwie, któremuby zarazem nie towarzyszyła gałązka żyły prowadząca krew i gołązka arteryi prowadząca pneuma, które razem z nim tworzą jedno żywe włókno, około którego krew ożywiona pneumatem, nowe regularnie dosadza cząstki. Jak Erazystrat i inni pneumatycy sobie wyobrażali odżywienie ciała, zrozumiemy z porównania, którém objaśnić usiłowali akt płodzenia, mówiąc, że pneuma czyli duch nasienia organizuje je i kształci, podobnie jak Phidiasz wyrabia z marmuru.

W szkole pneumatycznéj, która jest nowém wskrzeszeniem przez Atheneusza szkoły dawnéj dogmatycznéj, od Hippokratesa poczętéj, przez filozofią Platona i Stoików modyfikowanéj, pojęcie o pneuma zmieniało się coraz więcéj uduchowniając się. Początkowo bowiem, dla wielu pneuma nie było niczém inném, jak czystém powietrzem, przez oddech do ciała wprowadzoném, późniéj dopiero gdy subtelniejszy jeszcze płyn od powietrza przyjęto, który cały świat wypełnia i wszystko przenika, przenika materyą aż do ostatecznych jéj atomów, płyn najdoskonalszy jak mniemano, natury ognistéj, stąd eter nazwany, pneuma za równo brano z eterem; nareszcie, gdy niektórzy ze Stoików

natchnieni Anaxagorasa i Platona nauką, wznieśli się do pojęć najwyższych, idealnych, do pojęć czystego ducha przyjmując w świecie dwa pierwiastki: jeden bierny, drugi czynny, przyjmując materyą i ducha, wówczas pneuma czysto-duchowego nabrało znaczenia; znaczyło nie tylko siłę w organizmie czynną budującą, siłę nazwaną calidum innatum nazwaną *Ενορμον*, lecz siłę z wszelkiéj materyalnosci oczyszczoną, rozumną, którą Anaxagoras *νοῦς* nazwał, która znaczyła nie tylko *ψυχη* duszę człowieka lecz duszę świata.

Jeżeli potrzeba było całego życia umysłowego, filozoficznego Grecyi do uznania ostatecznie dwóch pierwiastków, ducha i materyi: cała filozofia późniejsza pracowała nad tém by dwie te substancye, tak sobie przeciwne, w połączeniu, w zgodzie pojąć i zrozumieć. Najznakomitsze umysły, jak Parmenides i Spinoza odstąpiły i wyrzekły się tego zadania, które filozofów skazało na ciężkie prace Tantala i nieustanne jego zawody.

Jak Spinoza, który porzucił dualizm Descartes'a przyjmując jedność substancyi, w któréj tonie urozmaicona rzeczywistość, jak toną bez śladu fale, które są wody niezmiennéj znikomą odmianą: — tak Parmenides wyszedłszy z dualizmu Xenophana, przyjmującego: jednego, wiecznego i niecielesnego Boga, będącego zarazem siłą i myślą, i ziemię materyą pierwotną z któréj świat zmysłowy powstał, wzniósł się do idei jedności bytu, ale tak czczego, że w nim znikła materya, życie, świat jak snu marne widmo. Nikt od Parmenidesa idealniéj, nikt więcéj bezwarunkowo jedności nie pojmował; jest on pierwowzorem wszystkich następnych metafizyków. Platon nazywa go niezrównanym w głębokiém myśleniu i niezwyciężonym. Nie zmy-

słom, mówi Parmenides, które nas mamidłami jak dzieci bawią, które pozór za rzeczywistość podając, łudzą nas jak ludzi sen swojemi zwodniczemi widmami, wierzyć powinien mędrzec: lecz rozumowi, saméj tylko myśli, która bezpośrednio o swoim własnym bycie przeświadczona, jedynie też tylko świadczyć może za tém co jest istotnie, co jest bezwarunkowo, co jest samo przez się niezależne i niepochodzące od czegoś innego, a zatém wieczne; co pełne sobą samém, jest nieruchomem, bo niezmienne — niezmienne bo nic stracić, nic zyskać nie może; co pełne całością bytu, nie może być jak samo jedno tylko, gdy oprócz bytu jest tylko nicość — jest jednością nieprzerwaną, niepodzielną, bo cóżby ją dzielić mogło, kiedy jest samo tylko jedno; wszechbytem brzemienne jest zjawisk najrozmaitszych niewyczerpanym oceanem, którego każda fala jest ideą, każda kropla iskrzy się światłem myśli. Byt, taki mówi Parmenides, czyż może być czém inném jak myślą, kiedy się tylko samą myślą da pojąć: myśl tylko, myśl pojąć jest w stanie; a myśl która o sobie wie możesz-że niebyć?

Taką jednością bytu, bytu czystéj myśli stanął Parmenides, nie powiem obok, ale na przeciw Thalesowi, Anaximenesowi i Heraklidowi przyjmującym nie jedność bytu, lecz jedność pierwiastku, jedność elementu: Thales wodę, Anaximenes powietrze, Heraklid ogień; które w swéj jedności zarazem są siłą kształcącą i materyą. Z téj jedności substancyi również im było trudno wyczarować rozmaitość świata i zjawisk, i pojąć jego stronę duchowną, czynną i rozumną, jak Parmenidesowi trudno było przekonać, że ten świat tak pełen życia i ruchu jest czczym, fantastycznym bytem spokojnéj nieruchoméj, niezmiennéj myśli.

Według Heraklida. ruchem niezgody walczących zjawisk, zmieniających się jak fale kształtów, płynie nieprzerwanie ognistym prądem życie z czarodziejską swą rozmaitością bytu, w więzach konieczności, aż zniknie w płomieniach z których wzięło początek. Byt Parmenidesa czemże się różni od nicości?—Nieskończoność, nieograniczoność nie dodadzą mu treści, nie wypełnią jego czczości,a choćby był myślą,—czysta,nieruchoma i niezmienna nawetby marzyć nie była zdolną. A przecież jedności domaga się nasz rozum, jedności potrzebuje za podstawę aby na niéj budować świątynią wiedzy, godną ołtarza dla prawdy.

Myśl nasza, szukając jedności po za ową ruchliwą, zmienną rozmaitością, którą pozorną nazywa, jeżeli znajduje jedność substancyi, porzuca ją wkrótce, bo jest tak nikłą, sama przez się tak ubogą w sobie, że sama z siebie, bez Boga, świata nie wyłoni. Nie mniéj zawiedzioną będzie myśl nasza, jeżeli po nad światem rzeczywistym skrzydląc, szukać będzie jedności, nie przed tronem wszechmocnego Stwórcy, lecz w téj niepojętej czczości, gdzie oprócz siebie saméj innego nie znajdzie bytu.

Nie idealizm, jak go pojmował Parmenides, ani panteizm Heraklida, był ostatniém filozofii greckiéj słowem: ale dualizm Platona, albo raczéj Arystotelesa, który więcéj od mistrza swego uwzględniał materyą, przyznając jéj wewnętrzną wrodzoną możebność do ruchu i czynu, własną kształcąc i przeobrażając się siłą, pod sternictwem najwyższego rozumu, który wszystko ku wspólnemu dobru jednoczy. Przejście do tego dualizmu ze szkoły jońskiej ułatwił Anaxagoras, przyjaciel i doradca

Peryklesa. Czczości w naturze Anaxagoras nie przyjmując, fizyk przedewszystkiém, nie wyszedł myślą swoją po za granicę materyi; *Νοῦς* nawet jego, ta istota rozumna, która jest duszą w każdym bycie, który stosownie do swego przeznaczenia i celów organizuje, również jak materya, z któréj się świat składa, wyszedł z chaosu odwiecznego, z chaosu w którym wrzały nienawiścią różnorodne, bez ładu pomięszane atomy, usiłujące z pośród siebie wyrzucić obce: gdy jednolite, podobne, siłą powinowactwa nawzajem się przyciągając, utworzyły elementa, utworzyły eter, z których najsubtelniejszych, najlotniejszych powstała sama wszechwładna Dusza świata.

Istotę boską Plato daleko czyściéj duchowo pojmuje, stawiając ją odwieczną naprzeciwko materyi, którą w zapędzie swoim dyalektycznym tak dalece wytreścić usiłuje, iż zupełnie obnażona, marnieje i znika przed zmysłami, stając się nawet dla saméj myśli niepojętą, tak dalece, że chcąc ją oznaczyć nazywa ją: „nie-bytem“ albo „to-drugie.“ Forma i siła nic do niéj należy: bierną być, to cała jéj cnota, całe przeznaczenie służyć za znikomą szatę odwiecznym w nią wcielonym ideom, które są myślami Boga. Tłómacząc tworzenie się świata, tłómacząc sprawy życia, pomimo całéj swéj zręczności i uroku swéj dyalektyki, uciekając się do mniéj więcéj szczęśliwych porównań, Plato nie był w stanie bez sprzeczności, dualizmu swego usprawiedliwić i bez narażenia stanowiska w założeniu orzeczonego, ducha i materyi przeprowadzić. U następców jego przeważała dążność metafizyczna, wyradzająca się w coraz więcéj absolutny idealizm, u innych w mistycyzm, nie znających innego źródła wiedzy, jak natchnienie, zasłużone wyrzecze-

niem się samego siebie, jak wpatrywanie się w Boga objawiającego się w nieskalanej czystości własnéj duszy. Lecz wróćmy się do pneumatyków, którzy nadużywając dyalektyki i lekkomyślnego rozumowania, ani nauce o życiu, ani nauce o chorobach, wyjąwszy Areteusa, użytecznymi nie byli. Ze stanowiska swego zbyt byli dumni: wiara ich w niezawodnośc spekulacyi i rozumowania tak ich zrobiła upartemi, że Galen o nich mówi, iż woleli-by ojczyznę zdradzić, jak od swego zdania odstąpić. Dyalektyka sama, któréj pneumatycy tak bez granic zaufali, trzeźwych umysłów, wiedzy chciwych, doświadczeniu hołdujących zadowolnić nie mogła, a nadużycie jéj tłómaczy nam upadek dawnego dogmatyzmu, tłómaczy nam jedynie powodzenie współczesnych grubych empiryków, a nadewszystko powodzenie zarozumiałych, powiększéj części nieokrzesanych metodystów, którzy wszyscy razem zasługują na surowy i pogardliwy sąd Pliniusza starszego o lekarzach w Rzymie: — sąd najzupełniéj zasłużony, bo zgraja która się wówczas leczeniu oddawała, łakoma zysku, szukała tylko zapłaty, durzyła gadatliwością i mędrkowaniem publiczność, tém zuchwalsza im mniéj świadoma; zgraja na któréj nigdy i nigdzie niezbywało, o któréj niesumienności, zręczności i bezwstydzie już i Hippokrates wspomina; zgraja, któréj koryfeusze za czasów Galena w Rzymie tak dalece umieli sobie zjednać zaufanie i takie wzięcie, którzy sobie bezwstydnie przywłaszczali monopol rzeczy i urzędów lekarskich, że Galen, ten olbrzymi geniusz, który jako lekarz wyrównał Hippokratesowi, a jako mędrzec nie był niższym od Platona i Arystotelesa, że Galen, który przez ośm wieków tak dalece był prawodawcą w szkołach lekarskich,

jako o Stwórcy nie umiał się wznieść wyżéj nad pojęcia Greków, zasługuje przecież na zarzut, że w nauce swojéj o duszy, nie umiał się utrzymać na równi własnego stanowiska, nie umiał dotrwać Platonowi, którego właśnie ze względu szczytnéj jego nauki o duszy, nazywa księciem wiedzy,—Platonowi wznoszącemu się do sfer wieczności, do idei nieśmiertelności. „Czy dusza duchową lub materyalną jest istotą, dowieść trudno“ mówi Galen „szczęściem że wątpliwość ta ani zdrowiu ani nauce nie idzie na szkodę.‘

Jak Platon a przed nim Hippokrates i po części Pitagoras, Galen potrójną przyjmuje duszę: duszę rozumną którą mieścił w głowie; duszę żywotną, któréj cnotą jest odwaga, którą mieścił w sercu; i duszę naturalną, której cnotą jest miłość i którą umieścił w wątrobie.

Naukę tę o duszy, którą całkowicie od Platona przyjął, wyjąwszy co się tyczy nieśmiertelności duszy rozumnéj, bronił Galen żarliwie przeciw Stoikom, którzy wraz z Arystotelesem jedność przyjmując duszy, w sercu ją mieścili.

Dowodząc zależności duszy od ciała, utrzymując że usposobienie i stan ciała wpływa i odbija się w duszy, jawnie do materyjalności duszy się skłania. Oprócz potrójnych sił duszy działających za pośrednictwem potrójnego pneumatu (πνεῦμα), pneumatu zawartego w mózgu dla władz duszy rozumnéj, na posługę których nerwy są przeznaczone; pneumatu zawartego w sercu, gdzie z krwią zmięszane jest przyczyną jego pulsowania i pneumatu nareszcie mieszczącego się w wątrobie i które ztąd po żyłach krążąc, funkcyom naturalnym, czynnościom, że tak powiem, ekonomicznym ciała, przewodniczy, do których należy odży-

wienie ciała, wzrost jego i płodzenie: oprócz tych sił, mówię, Galen przyjmuje jeszcze cztéry siły podrzędne, za pomocą których części składowe ciała i organa przyciągają, zatrzymują i zmieniają, co im jest potrzebne, spokrewnione, lub wyrzucają co im jest niepotrzebne.
